

DYSKUSJA

Los polsko-żydowski wpisany w literaturę – rozmowa z Marianem Marzyńskim

Żaneta Nałewajk – Dlaczego zdecydował się Pan zaryzykować późny debiut? Skąd pomysł i decyzja? - to pierwsze pytanie. Kolejne, zadam za Sartre’em: czym jest literatura i dlaczego się pisze?

Marian Marzyński – Nie wierzę w tak zwany zawód artystyczny. Henryk Grynberg zapytał mnie: od kiedy stałeś się pisarzem? Odpowiedziałem: od poniedziałku. Nie wiem, co to znaczy, że ktoś jest mianowany lub sam się mianuje prozaikiem, nie wiem, czym jest środowisko literackie, bo nigdy w nim nie byłem. Nie czuje się również debiutantem, mimo że formalnie nim jestem, bo wydano moją pierwszą książkę. Pisałem od najmłodszych lat, podejmowałem bezowocne próby pisania w czasach cenzury PRL-u. Pisałem mikrofonem i kamera, przy pomocy telewizji i radia - tam mi się udawało.

Cała moja twórczość jest autorska, nie tak bardzo osobista, jak ta książka, ale zawsze subiektywna. Tak, ja to pisanie w sobie nosiłem. W moim życiu nastąpił przełom, kiedy skończyłem pięćdziesiąt lat. Wtedy właśnie nasiliło się we mnie poczucie upływającego czasu i pojawiło się zarazem zainteresowanie młodością, więc usiadłem do pisania. Żyjemy w epoce pisania o sobie i od siebie, to dzielenie się sobą, zaczyna się od maili, ja też tak rozpowszechniałem pierwsze strony mojej przysługującej książki.

Sennik polsko-żydowski to historia, opowiadająca o tym, co się dzieje z dzieckiem skazanym na śmierć w czasach zagłady, które to dziecko 50 lat później żyje jako emigrant w innym kraju, A dlaczego nie czuję się debiutantem pisałem we fragmencie *Sennika polsko-żydowskiego* zatytułowanym *Piszączka*. Tak początkowo ta książka miała się nazywać.

Żaneta Nałewajk – Zabawne sformułowanie.

Marian Marzyński Moja definicja tego słowa, to: niekontrolowana fala pisania.

Krzysztofa Krowiranda – Czy ukuł Pan angielski odpowiednik tego słowa?

Marian Marzyński – W języku angielskim nie istnieje odpowiednik tego neologizmu i bardzo trudno byłoby taki wymyślić.

Krzysztofa Krowiranda – Ale w książce można odnaleźć fragment, w którym wyjaśnia Pan słowo *wannabees* (chceniokimśbycie), używane na określenie tych, którzy chcieliby być kimś innym. Jak sam Pan to ujmuje (na stronie 254 *Sennika*), w angielskim bierze się kawałek z „chceniokimśbycia” i powstaje nowy rzeczownik „wannabees”.

Marian Marzyński – Moja książka po angielsku będzie się nazywać *Dreamoires* - to neologizm od słów „śnić” (*dream*) i „pamiętnik” (*memoir*), połączenie snu i jawy.

Krzysztofa Krowiranda – Tytuł *Sennik polsko-żydowski* wydaje się bardzo „konwicki”, odsyła zarówno do *Sennika współczesnego*, jak i *Kompleksu polskiego*. Do Konwickiego prowadzą też inne tropy: sylwiczność pańskiego tekstu, wątki autobiograficzne, wspomnienia, cofanie się do zdarzeń z wczesnego dzieciństwa, silne osadzenie własnej biografii w dwudziestowiecznej historii z jej największymi i najbardziej dominującymi wydarzeniami, okrucy zdarzeń, rzeczywistych, codziennych, banalnych, przeczystych, wprowadzenie anegdot dotyczących

znajomych, przyjaciół, rodziny, a nawet psa, który mógłby być odpowiednikiem kota Iwana.

Marian Marzyński – Nie byłem świadomy patronatu Konwickiego, ale być może przy podejmowaniu decyzji odnośnie tytułu, wydawnictwo liczyło na wywołanie takiego skojarzenia u czytelników, zakładając, że dzięki tej asocjacji książka łatwiej do nich trafi. Ja jestem najlepiej rozumiany przez odbiorców dwudziesto- i trzydziestoletnich. Cieszę się z tego, bo zawsze wydawali mi się oni najważniejszymi czytelnikami, otwartymi na eksperyment, przenoszącymi książkę w przyszłość.

Żaneta Nałewajk – Wróćmy do pytania dlaczego się pisze? Dlaczego Pan pisze?

Marian Marzyński – Powtórzę za Gombrowiczem: ja nie pisze książki, książka pisze mnie. Nie mam świadomości uczestnictwa w literaturze, jeżeli jest ona tylko zbiorem pewnej ilości książek i pisarzy, to w porządku. Natomiast ja nie operuje takimi koncepcjami jak tradycja literacka, taka czy inna literatura. Dziś wchodzi się do umysłów ludzkich różnymi drzwiami. najistotniejsze wydaje się nie to, ilu czytelników przeczyta książkę, ale jak ją przeczyta, dlatego spotkania autorskie dają mi tyle satysfakcji., cieszę się, kiedy udaje mi się kogoś zainspirować, lubię dzielić się sobą, ale również czerpać inspiracje od innych. Nigdy nie należałem do sfer artystycznych, nie chodziłem do klubów, żeby spotkać artystów. W Polsce jeździłem do małych miejscowości, by robić tam telewizyjne turnieje miast. Odkrywanie życia prowincji zawsze wydawało mi się fascynujące.

Żaneta Nałewajk – Pisze się po to, aby być czytany?

Marian Marzyński – W moim przypadku, żeby mieć z pisania przyjemność. Zawód nie kojarzy mi się z przyjemnością, raczej z koniecznością zarabiania pieniędzy. Mnie udało mi się jakimś cudem, w czasach PRL-u być błaznem, czyli zajmować się mniej więcej tym, co sprawiało mi przyjemność. Po wyjeździe do Ameryki, zrobiłem sobie przerwę w tzw. twórczości i zacząłem uczyć filmu, to też sprawiało mi satysfakcję. Teraz uciekam od produkcji filmowej, bo ta ciężka praca, zaczęła mnie męczyć. Pisanie jest lekkie. Lubię dobierać wyrazy, łączyć je w zdania, montować fragmenty. Pisząc używam tej samej metody montażu której nauczyłem się w filmie.

Krzysztofa Krowiranda – Na czym polega przenoszenie technik filmowych do literatury?

Marian Marzyński – *Sennik polsko-żydowski* to książka, złożona z fragmentów pisanych przez 12 lat, a potem zmontowana. Tekst ma trzysta stron, na pierwszych stu pojawia się zaledwie kilka snów, a pozostałe fragmenty dotyczą rzeczywistości na jawie; na następnych stu stronach bilans snów i nie-snów wypada mniej więcej pół na pół, bo czytelnik jest już z tą techniką oswojony. W trzeciej części sny przeważają. Powieściowość *Sennika polsko-żydowskiego* tworzy się przez to, że czytelnik zaczyna śnić razem z autorem. Dzięki montażowi książka nie jest pamiętnikiem, a rodzajem nowoczesnej powieści pisanej w pierwszej osobie, gdzie postać bohatera rozwija się, a zarazem ujawniają się w nim cechy uniwersalne, jak w mojej ulubionej amerykańskiej książce *Everything is illuminated*. Jest to historia dwudziestosześcioletniego wnuka ukraińskich Żydów, którzy przeżyli Zagładę. Akcja dzieje się w trzech, przestrzeniach. Wnuk, dowiedziawszy się od dziadka, że w czasie wojny uratowała mu życie ukraińska kobieta, jedzie na Ukrainę na poszukiwanie tej kobiety. Okazuje się, że to, co opowiadał mu dziadek, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Bohater tworzy więc własną „senną” wersję tamtej rzeczywistości.

W *Senniku polsko-żydowskim* próbuję wykonać podobny manewr. Odrywam się od pisania pamiętnikarskiego (charakterystycznego dla twórczości Hanny Krall czy

Henryka Grynberga), staram się znaleźć dystans do zapamiętanej rzeczywistości. To relacjonowanie przeszłości w konwencji sennej, wyobrazeniowej, pozwala mi nawiązać kontakt z młodszym pokoleniem.

Krzysztofa Krowiranda – W pańskiej książce widoczna jest także pasja pisania o małych codziennych przyjemnościach, podglądania, podsłuchiwanie ludzi, włazenia na podwórka, do bram, omijania znaków zakazu – to takie docieranie do rzeczywistości w jej mikrowymiarze.

Marian Marzyński – A jednocześnie staram się dochodzić do czegoś ważnego, tak jak Gombrowicz, który w *Trans-Atlantyku* prowadząc nas przez te wszystkie śmieszności fabularne, pokazuje, że unosi się nad nimi para wielkiej mądrości.

Krzysztofa Krowiranda – Pański los wojenny, opisywany w migawkowych ujęciach i krótkich zdaniach na kartach książki bardzo przypomina historie chłopca, opisaną przez Grynberga w *Żydowskiej wojnie* i *Zwycięstwie*. U Pana jednak jest nieporównanie mniej gorczy, gniewu, zjadłości. Jak to możliwe? Grynberg, w tekście *Obsesyjny temat*, rozliczając się z Polską i Polakami wyznaje: „Ekshumacja w sensie literackim stała się moim głównym zadaniem. [...] Zostałem pisarzem zmarłych, bo żywi mieli dosyć własnych pisarzy. [...] Zdaje mi się, że po to żyję, czasami nawet, że dlatego. I że dlatego nie popełniłem dotychczas samobójstwa z obrzydzenia do świata, w jakim przyszło mi żyć”. Pan na stronie 209. *Sennika* napisał: „gdy jego [nie Grynberga] koszmarnym snem jest polskie okrucieństwo, mnie w moich snach odwiedza polska szlachetność – ja, Żyd na aryjskich papierach, inaczej myśleć nie potrafię”. Czy to oznacza, że dla Pana jest to problem i temat ważny, ale nie obsesyjny? I jak Pan ocenia postawę pisarską Grynberga? A jak postawę na przykład Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który swoje Żydostwo krył tak doskonale, że w *Innym Świecie* o Żydach pisał „oni”? Jak Pan sądzi, z czego to mogło wynikać?

Marian Marzyński – Jestem pełen podziwu dla misji, którą Grynberg sobie wyznaczył. Każdy z nas, z tych trzech ludzi, których Pani wymieniła, miał inne geny, inną matkę, innego ojca...

Krzysztofa Krowiranda – Ale podobny los.

Marian Marzyński – Wspólny tylko w tym sensie, że było się skazanym na śmierć, że się straciło bliskich, ale okoliczności psychologiczne w jakich się ten los znosiło, były różne. I różny dramat przeżycia. W czasie wojny rozmaite dyspozycje ludzkie nasilały się. Pesymiści stali się bardziej pesymistyczni, optymiści starali się pozostać optymistami. Ludzie w małych miastach, na przykład rodzice Grynberga, blisko związani z miejscową ludnością, w dużej mierze antysemicką, przeżywali to inaczej niż Żydzi z Warszawy, jak moja rodzina, która znalazła olbrzymie oparcie wśród nieżydowskich przyjaciół. Rodzice uczyli mnie optymizmu nawet w najgorszych momentach.

Krzysztofa Krowiranda – A jaki był Pana polsko-żydowski los po wojnie?

Marian Marzyński – Jestem niby Żydem, który został wygnany, ale wyjechałem z kraju zanim mogłoby być mi tam źle. Oczywiście żyłem w koszmarnym ustroju. Ale czym dla mnie, młodego człowieka, było przeżycie komunizmu, po przeżyciu wojny? Od najmłodszych lat miałem ironiczny stosunek do otaczającej mnie polskiej rzeczywistości.

Żaneta Nałewajk – Gdy czytałam Pańską książkę towarzyszyło mi poczucie, że oglądam obraz strasznych zdarzeń w sennym zwierciadle. Zrodziło mi się z tego takie wrażenie, że pisze Pan o świecie pozbawionym fundamentów, w którym trudno

uchwycić stałe punkty oparcia, bo tymi stałymi punktami byli dla Pana matka i ojciec, obecnie już nie żyjący. Píše Pan w *Senniku polsko-żydowskim*, że to Pana bogowie. Do nich się Pan odnosi, w nich zakotwicza, a jednocześnie opisywana przez Pana rzeczywistość pozostaje amorficzna, bezkształtna, błądzi się w niej, poszukuje śladów porządku zjawisk. Przyczyna nie wiąże się ze skutkiem tak, jak w normalnym ciągu logicznym. Bieguny świata przedstawionego rozpięte są między doświadczeniem dzieciństwa, którego, w takim błogim rozumieniu, Pan *de facto* nie miał i pomiędzy doświadczeniem emigranta. Jak z tego wszystkiego odczytać los polsko-żydowski? Czy mógłby Pan spróbować zdefiniować go przez pryzmat własnej biografii?

Marian Marzyński – Świetnie odczytała Pani książkę, a na pytanie o syntezę nie dostanie Pani ode mnie odpowiedzi. Od syntezy jest czytelnik albo wydawca. Wydawca pisze, że ta książka to „zarazem świadectwo ocalającej mocy humoru, dzięki któremu pamięć historii przestaje być niebezpieczna, staje się inspiracją do tworzenia alternatywnych scenariuszy własnego życia, mitów i snów”. Alleluja!

Jak ognia boje się wyrokowania prawdy. Ludziom religijnym jest łatwiej, bo opowiedzieli sobie pewną historię i uznali ją za prawdziwą. Ale przecież dla tych z nas, którzy takiej historii nie mają, cała przyjemność polega na tym, by pewne pytania pozostały bez odpowiedzi, by ciągle je zadawać, ekscytować się nimi, i w ten sposób wypełniać nimi życie.

Żaneta Nałewajk – Czy mógłby się Pan odnieść do drażliwego tematu w historii polsko-żydowskiej – problemu biernego uczestnictwa Polaków w Holocaulście? Zacytuję fragment Pańskiej książki, wstrząsający, chociaż napisany suchym, nieemocjonalnym językiem: „[...] minęły prawie dwa lata od czasu, gdy ekipa *Shoah Visual Project* przyszła do naszego domu w Chicago, żeby nagrać moje wspomnienia z Zagłady. Potem przysłali mi kasetę, której do dzisiaj bałem się obejrzeć”. A potem pisze Pan tak: „[...] nie lubię ani roli ofiary, ani oskarżyciela, wolę być obrońcą”. To bardzo ciekawa, nietypowa postawa, czy zechciałby Pan rozwinąć ten wątek?

Marian Marzyński – Wynika ona z wiary w człowieka, ja zaczynam od tego, że każdy człowiek jest aniołem. Wielu ludzi podejrzewa mnie o koncepcje religijne. Matka zawsze mi powtarzała, że należy ludziom wierzyć, na tym opiera się również amerykańska doktryna prawna – człowiek jest niewinny do czasu udowodnienia mu winy. To zupełnie inne podejście od tego, które rozpowszechniło się w Europie i w Polsce. W tym sensie rola obrońcy podoba mi się, bo sadzę, że jest to rola humanisty, który może ewentualnie komuś pomóc, broniąc go przed niesłusznym oskarżeniem. Chciałbym też bronić Żydów, którzy byli niewinni, a zostali skazani na śmierć. Nie odpowiada mi rola ofiary, prawdopodobnie nikomu nie odpowiada. Rola oskarżyciela też nie, ponieważ znam zbyt dużo fałszywych oskarżeń.

Żaneta Nałewajk – Bo jest za trudna? A może moralnie dwuznaczna?

Marian Marzyński – Po prostu dla mnie nie do udźwignięcia. W filmie *Sztetl*, kobieta, która była żona sołtysa oskarżonego o to, że wydawał Żydów, mówi mi: „Ja nie wiem, jak to było proszę pana, to były takie czasy, albo zabiliby pana, albo wydawał pan kogoś innego, którego zabili”. Rozumiem, co chciała powiedzieć: że każdy wtedy był ofiarą. Ona i ja milczeliśmy. Jakiś czas temu zrobiłem film *Żyd wśród Niemców*. Pojechałem do Niemiec, żeby przestudiować stosunek trzeciego powojennego pokolenia Niemców do problemu winy. Poczucie winy jest czymś negatywnym, nietwórczym, nie wiadomo co z tym zrobić i dlatego zaproponowałem im żeby ukuli nowy termin – „poczucie dobrej winy”. Moje dzieci też czują się ofiarami mojej pamięci, chciałbym ich pozbawić tego ciężaru. A jednak nie

lubię obchodów rocznicy końca wojny, bo wojna o tolerancję ciągle się toczy, tylko w innych miejscach.

Żaneta Nałewajk – Kiedy Pan mówił, nasunęła mi się następująca refleksja: czytałam jakiś czas temu, poparty badaniami, tekst, z którego wynikało, że wśród reprezentantów młodego pokolenia nie występuje poczucie winy za zbrodnie przodków, bo pojawić się nie może, z tej racji, że ci młodzi ludzie nie uczestniczyli przecież w zbrodni Holocaustu. W trzecim pokoleniu natomiast ma szansę pojawić się poczucie wstydu, którego prawie nie sposób zaobserwować w pierwszym. Może takiej właśnie emocji należałoby oczekiwać ze strony współczesnych Niemców czy po prostu ludzi. W poczucie wstydu wpisana jest ciągłość historyczna, pamięć o przodkach, a zarazem przekonanie, że pozostaje się spadkobiercą nie zawsze dobrej historii, pisanej ciężarem ich czynów.

Krzysztofa Krowiranda – Barbara Engelking i Jacek Leociak, pracownicy Instytutu Badań Literackich PAN, prowadzą całoroczne zajęcia poświęcone warszawskiemu gettu, co, jak sadzę, pozwala podtrzymać lub zaszczerpić tego rodzaju świadomość, o której Pan mówi. Napisali też książkę *Przewodnik po nieistniejącym mieście – getto warszawskie*, w której niezwykle szczegółowo i wieloaspektowo opisują życie mieszkańców getta. Można chyba wnioskować, że próbują oni, wprowadzić w użycie owo dobre poczucie winy, o którym Pan wspominał.

Marian Marzyński – To dla mnie bardzo dobra wiadomość.

Żaneta Nałewajk – Skoro rozmawiamy o poczuciu winy, warto może przypomnieć refleksje Gombrowicza, na którego często Pan się powołuje, zapisana na kartach *Dziennika*. „Jedno wszakże wydaje się wspólne ludziom dzisiejszym [...], nasz diabeł jest coraz mniej związany z problemem moralnym, jest niezależny od grzechu i cnoty. Nie jest to szatan »artykułowany«. Jest z ciemności. Z absurdu. Nie jest ani pokusa ani kara, jest tylko i jedynie z bólu, jest niezawiniony. Trzeba będzie powrócić do tego problemu odpowiedzialności moralnej. Obawiam się, że najważniejszym odkryciem, jakie nas czeka na tym polu będzie, że jesteśmy zupełnie niewinni. I wtenczas co? Zniknie poczucie grzechu? Człowiek poczuje się tylko ofiarą?” W zacytowanym fragmencie autor *Pornografii* diagnozując kryzys aksjologiczny stwierdza, iż współczesna rzeczywistość tak się skomplikowała, że powinniśmy ponownie przemyśleć wiele kwestii moralnych. Gombrowicz nie formułuje odpowiedzi na pytania, które stawia. Warto zastanowić się czy zamęt w świecie wartości i zanik wiary w sens pozwala człowiekowi poczuć się wyłącznie ofiarą, czy nie anihiluje wolnej woli, nie sprowadza istnienia wyłącznie do egzystencji zdeterminowanej (na przykład manipulowanej propagandą, uwikłanej w społeczny kontekst), niezdolnej do elementarnej buntu przeciwko antywartościom. Czy rzeczywiście człowiekowi wolno poczuć się tylko ofiarą?

Marian Marzyński – Historia dziecka skazanego na śmierć, które straciło ojca i kontakt z matką, można przełożyć na psychologiczne konsekwencje, jakie dają się zaobserwować u dziecka porzuconego przez rozwiedzionych rodziców. Nasuwa się pytanie: jak wprowadzić w życie dorosłego z takimi doświadczeniami, żeby nie przeszkadzały w budowaniu może kruchej, ale jednak fundamentu. W koncepcji chrześcijańskiej mówiącej o tym, że wszyscy jesteśmy obciążeni grzechem trudno znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Krzysztofa Krowiranda – Na stronie 73. *Sennika* przywołuje Pan zdanie nadrabina z Łodzi, który mówi, „[...] że jeżeli artysta potrafi odmalować Zagładę, to antysemita powiedzą, że jej nie było”. Zdanie to wywołuje kilka problemów. Po pierwsze,

anihilującą moc estetyzacji, mogącą, paradoksalnie, uczynić wyrwę w rzeczywistości. Po drugie, pytanie o to, czy Pańskim zdaniem komukolwiek udało się przedstawić Zagładę? Po trzecie, problem moralnej i psychicznej klasyfikacji ludzi, którzy Zagładzie zaprzeczają.

Marian Marzyński – Przedstawienie Zagłady udało się niektórym filmowcom. To zadanie powiodło się w małych, kameralnych filmach, w których, jak u Agnieszki Holland, pokazany był dramat ukrywającej się w piwnicy Żydówki i ukrywającego ją człowieka. Natomiast w wielkich produkcjach filmowych, jak *Pianista*, pretendujących do pokazania Zagłady, mamy do czynienia z eksploatacją tematu przemocy. Filmy te, niby są szlachetne, ale karykaturyzują ofiary, ja to nazywam pornografia Holocaustu.

Żaneta Nałewajk – Głowacki w *Z głowy* komentując premierę *Pianisty*, na której sala pękała w szwach, zestawiał ten opis ze wspomnieniem wyjazdu do Jedwabnego, gdzie podczas uroczystości prezydent miał przeproszać za zbrodnie Polaków popełnione na Żydach. Podstawiono kilka czy może nawet kilkanaście autokarów, a okazało się, że jada niemal puste. Głowacki skomentował to w następujący sposób: być może te filmy o Holocaustie powodują paradoksalne skutki. Społeczeństwo chodząc na projekcje za jedyne 10 zł uwalnia się od poczucia winy.

Krzysztofa Krowiranda – Chciałabym zatrzymać się na chwile przy problemie tożsamości, pamięci. Pytanie okraszę dość długim cytatem. Kończąc tekst zatytułowany *Tożsamość, ja i pamięć*, Barbara Skarga przywołuje mit zwierciadła, który łączy zdaniem autorki historie Narcyza ze światem Dionizosa. „W interpretacji metafizycznej mówi on, że dusza przeglądająca się w zwierciadle Narcyza pragnie objąć samą siebie w swej pełni, stopić się z sobą i z tym, co wydaje się inne, by osiągnąć jedność absolutną. Zwierciadło Dionizosa rozbija moje odbicie na nieskończoną liczbę chaotycznych, niewyraźnych fragmentów. Tym silniejsze budzi się pragnienie ucieczki od tej różnorodności, pragnienie scalenia, odzyskania siebie. Między obu odbiciami panuje zatem zgodność tego samego fundamentalnego dążenia, nigdy niespełnionego, ale przenikającego nas nieustannie. Z jego perspektywy pamięć, z jednej strony, przedstawia się jako warunek integracji sobości, jej skutecznego budowania, z drugiej – jako nieustanna groźba rozbicia”. Sylwiczna *varietas Sennika polsko-żydowskiego*, jego mozaikowa, fragmentaryczna konstrukcja, przeplatanie elementów jawnie autobiograficznych z fikcyjnymi, prozy z wierszem, wspomnienia ze snem, reportażu z antycypacją, a także fakt, iż na kartach swojej książki nazwał się Pan „profesorem pamięci” naprowadza na trop podobnej do wyrażonej w przywołanym micie koncepcji pamięci i tożsamości. Czy temu między innymi książka służy? Czy nie jest ona oscylowaniem między zacierającym się wspomnieniem, a próbą jego ocalenia? Czy nie wyraża obawy przed rozproszeniem własnej tożsamości? Nie jest kompensacją tej obawy?

Marian Marzyński – Chyba tak, ale proces pisania oparty jest w dużej mierze na nieświadomości. Nie pisze się dlatego, że się wie. Sięga się po pióro z niewiedzy. Na przykład sny. Nie wymyśliłem sobie, że osnuje książkę wokół nich. Ja pracuję na dwie zmiany, dzienną i nocną. Mam to szczęście, że potrafię zapamiętywać sny, a jako filmowiec, umiem operować obrazem. Natomiast dlaczego śnię i jaki to ma wpływ na moja jaźń, tego dobrze nie wiem. Ja po prostu myślę w snach. A potem te myśli, przetworzone literacko, wprowadzam do swojego pisania. Ocalając zacierające się w pamięci wspomnienia, kreuję jednocześnie nową płaszczyznę, którą jest bieżąca rzeczywistość śniącego.

Krzysztofa Krowiranda – Zupełnie nie tego dotyczyło pytanie. Miało ono właściwie dotyczyć tego, że z jednej strony rejestruje Pan na bieżąco codzienność, jej skrawki, wszystko to, co da się złapać z terażniejszości, z codzienności, a z drugiej strony rekonstruuje Pan fragmenty wspomnień. Chciałam tylko dopytać o jedną rzecz. Gdy spojrzeć na Pana książkę z dystansu, nasuwa się następująca obserwacja: to zapis zarówno wspomnień, jak i codzienności, a zarazem budowanie jakiegoś pomostu, nawet fragmentarycznego i poszarpanego. Czy nie jest to próba uchwycenia i zatrzymania terażniejszości i przeszłości, jak w stop-klatce? Próba pozwalająca jednocześnie na dookreślenie siebie i niezagubienie osobowości w mijających zdarzeniach, ich zmienności?

Marian Marzyński – Tak, to jest szukanie tego pomostu. Teraz sobie uświadomiłem, że mając materiał senny nie zawsze wiedziałem o co chodzi, a zawsze mam świadomość odbiorcy. Nie pisze dla siebie. Jeśli nie zostaną odczytany to mnie to nie bawi, ja nie rozmawiam ze sobą. Rozmawiam ze sobą na stronach książki, ale tak żeby inni mnie słyszeli i mogli się włączyć do rozmowy. Myślę, że spisywałem rzeczywistość, raportowałem ją, jak na przykład ten wywiad: urodziłem się, itd. Te historie autobiograficzne są po to, aby zbalansować trudne doświadczenia i zbudować trochę fundamentu. Nie czułem się wygodnie, będąc sam z rzeczywistością snu. Wiedziałem, że ona jest istotna, ale wprowadza w błąd, idzie w najrozmaitszych kierunkach, pozostaje zupełnie prywatna, nie wnosi nic obiektywnego, więc trzeba trochę informacji dodać. I tu pojawia się zadanie nie tyle dla doświadczonego pisarza, co doświadczonego filmowca-montażysty, który wie, w jaki sposób opowiadać historie, by czytelnik czy widz się wciągnął.

Krzysztofa Krowiranda – Chciałabym jeszcze przez moment pozostać przy tożsamości, przy koncepcji, zgodnie z którą zapisywanie skrawków życia obecnego i dawnego pełni funkcję ocalającą, i jest to z pewnością czynność, wykonywana przez ludzi, którzy doświadczyli Holokaustu, otarli się o Zagładę. Dla większości pisarzy właśnie funkcja ocalająca jest ważna, często w ramach w ten sposób pojętej autoterapii, ujmują oni swoje pisarstwo. Z drugiej strony może być tak, że w momencie, kiedy runęły aksjomaty, rozproszyły się kategorie strukturujące rzeczywistość, kiedy ludzie zaczęli doświadczać chaosu, braku fundamentów, niewiele zostało kategorii całych. Sporo miejsca poświęca Pan w swej książce ciału – jego pielęgnacji, diecie, dbałości o nie, nieraz ironicznie, nieraz poważnie. Odnaleźć też można dywagacje dotyczące starości, wychylenia ku śmierci, refleksje nad nią. Chciałabym zapytać, czy częstotliwość przywołania kategorii ciała, istotne miejsce które ciało zajmuje w książce, wynika z wiary w cielesność ocalającą? W tym sensie, że biografia człowieka w cielesności się zamyka, że stanowi ono trwalszy, choć zmienny, dokument poświadczający tożsamość, bardziej trwały aniżeli pamięć. Ciało nie przekłamuje. Czy nie można by ciała właśnie potraktować jako jednej z niewielu kategorii, które ocalały, które lepiej pozwalają rekonstruować własną biografie niż przekłamujący rzeczywistość język?

Marian Marzyński – Absolutnie tak. To ciało zostało uratowane. Tak. Przy tak wspaniałe skonstruowanych pytaniach zostaje tylko potwierdzenie.

Żaneta Nałewajk – Mówił Pan o tym, że jest Pan czytelnikiem własnej książki, myślę, że musi to być niesłychanie ciekawe doświadczenie, i o to chciałam zapytać. Czy podczas lektury *Sennika polsko-żydowskiego*, czuje Pan czasami, że jej bohater jest Panu obcy?

Marian Marzyński – Nie, ja raczej nawiązuję do tego co Krzysia mówiła o fundamencie. Ta książka też jest ciałem. Dotyk. Ilu ludzi może sobie pozwolić na to, żeby powiedzieć, że w tym kawałku papieru, który trzyma w ręku, udało mu się złapać, utrzymać, utrwalić myśli, emocje, zdarzenia. To przyjemność polegająca na tym, że coś się udało utrwalić, że powstał jakiś mocniejszy fundament. Podobnie jest z moim filmem *Anya*

Pewna dziewczyna, w małym mieście powiedziała: „Ja bym swojej córki tak nie wychowała jak pan, ani pan jako ojciec, ani pana córka to nie jest mój typ”. Odpowiedziałem, że bardzo szanuję jej racje, choć to, co prawda, pierwsza opinia tego typu z którą się spotykam, bo na pokazach amerykańskich reakcje są zupełnie odwrotne. Ludzie przychodzą do mnie i mówią: „Ja też mam córkę, wolałabym ją wychowywać jak pan swoja, ale nie potrafiłam”, albo „Moja matka zawsze mówiła, że nic ze mnie nie będzie, a ja właśnie w zeszłym tygodniu skończyłam pisać doktorat”. Dziewczyna, o tym opowiada ma wilgotne oczy, obejmuje mnie i mówi, że film pomógł jej odnaleźć wiarę w siebie, wiarę, którą dawno temu utraciła.

Podobnie było z moim filmem *Sztetl*. Pewna polonuska, nauczycielka trzeciej klasy, powiedziała, że to jest trucizna i jad, i że ona by nigdy tego filmu nie pokazała swoim uczniom. A w Krakowie trzy tygodnie później na spotkaniu po filmie, wstaje kobieta nieomal zapłakana i mówi: „Jestem nauczycielką szkoły powszechnej w Krakowie i chcę panu powiedzieć, że marzę o tym, żeby wszystkie moje dzieci mogły ten film zobaczyć”. Mamy więc do czynienia z przeciwnymi postawami, i tak powinno być: trzeba wywołać dialog poza dziełem, w przestrzeni społecznej. To często lepsze niż pochwały.

Żaneta Nałewajk – W Pana wypowiedziach powraca nazwisko Witolda Gombrowicza. Dlaczego?

Marian Marzyński – To właśnie on zachęcił mnie do pisania. Gdyby nie Gombrowicz, moja książka by nie powstała, to pewne. Poznałem go późno, na emigracji, gdy miałem trzydzieści parę lat. Czerpię z niego inspirację – do czego chętnie się przyznaję – obserwuję i konstruuje pewne podobieństwa biograficzne – na przykład wspólny los emigracyjny. Fascynuje mnie treść książek Gombrowicza, a ich forma mnie niesamowicie bawi. W jego twórczości najbardziej interesujące wydaje mi się: poniedziałek: ja, wtorek: ja, środa: ja, czwartek: ja – w tym sensie mam odwagę pisać o „ja”, na przekór wszelkim normom kulturowym i zakłamaniu. A tytu z nas udaje, że „ja” nie jest dla nich najważniejsze. Tę odwagę do przyznania ważności „ja” czerpię z Gombrowicza, który mówił: „Kto jest większym ekspertem ode mnie niż ja? Pamiętacie końcówkę mojej książki, w której fikcyjna Izabela Bojko z tygodnika „Jak leci” pyta: „Dlaczego pan się w tej książce tak strasznie chwali?”. Ten *passus* nie jest wymyślony - pochodzi z rozmowy z pewnym człowiekiem z wydawnictwa Prószyński i S-ka, który przeczytał moja książkę, chyba po łebkach, a potem zapytał: „Proszę pana, dlaczego pan się tak strasznie chwali? To książka dla pańskich znajomych, rodziny, ale nie dla czytelnika”. Tu właśnie widzimy jak „ja” ma trudności w przebijaniu się, mimo że to „ja” jest najbardziej charakterystyczne dla nas wszystkich. Bo co my robimy w życiu? Co robi ojciec, który powtarza córce: ja uważam, ja ci mówię, ja ci powiedziałem. Na to córka: a ja myślę, że ja.... My ciągle przedstawiamy się jako „ja”, a wychodząc z domu ubieramy się w mundur i mówimy: „my”

Krzysztofa Krowiranda – W jakim nurcie literackim umieściłby Pan *Sennik polsko-żydowski*?

Marian Marzyński – W nurcie Nabokova i Singera, który nazywa się *self-translation*, własne tłumaczenie. Ja samodzielnie przygotowuję tłumaczenie angielskie *Sennika polsko-żydowskiego* i podoba mi się, że piszę dla mieszkańców nieznaney mi wyspy, bez głębszej świadomości czytelnika. Pomimo 35. lat spędzonych w Ameryce nie wiem, co czytali Amerykanie, a czego nie. Mieli zapewne zupełnie inne lektury niż moje. Tłumaczenie własnej książki pozwala mi potraktować ja jak napisaną przez kogoś innego, ale, ponieważ jest to jednak moja książka, mogę sobie pozwolić na tłumaczenie selektywne. Singer powiedział, że skoro w tłumaczeniu traci się 40%, książka musi być napisana na 140%. Pewne fragmenty potnę, te które mają zbyt wiele polskich odniesień kulturowych; uwypuklę inne, a niektóre *passusy* zostaną specjalnie na nowo stworzone po angielsku. Ale nie mógłbym napisać tej książki w całości w tym języku. Mam już pięćdziesiąt takich wpisów, które do książki nie weszły. Ludzie pytają mnie, jak to jest po tych 35. latach w Ameryce. Niektórzy chcą mi wmówić tęsknotę, ale to o czym pisze, nie ma z nią nic wspólnego. Oczywiście pojawiają się jakieś atawizmy pamięci, jakieś fragmenty, jakaś górka czy pole, głównie związki z ludźmi, przeniesione do nowej rzeczywistości. Kultura jest przenośna.

Krzysztofa Krowiranda – Zdecydowanie nie odebrałam *Sennika* jako książki nostalgicznej.

Żaneta Nałewajk – Bohater *Sennika polsko-żydowskiego* nigdy nie jest taki sam. Książka cechuje się wielojęzycznością, pojawia się w niej mnóstwo głosów, spisanych, zarejestrowanych, zapamiętanych. Poprzez te glosy pokazuje Pan różne obrazy świata.

Marian Marzyński – Rodzina ludzka i jej otoczenie, my i nasze środowisko, to co tkwi wewnątrz nas i to co nas otacza, to wszystko łączy nas w świecie. O tym jest ta książka.